

Ewa Stawicka

Proces Ludwika XVI

Palestra 41/1-2(469-470), 119-131

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE PROCESY

Ewa Stawicka

Proces Ludwika XVI

W Lucernie, na skraju miejskiego parku, wykuty w litej skale ogromny lew ostatnim przedśmiertnym wysiłkiem kładzie głowę na herbowej tarczy. W niespełna trzydzieści lat po szturmie tłumów na paryskie Tuileries, Helweci tak właśnie postanowili upamiętnić bohaterstwo około sześciuset żołnierzy gwardii szwajcarskiej, do końca wiernych francuskiemu królowi i poległych w walce o jego siedzibę. Ironia, to nieodstępne krzywe zwierciadło ludzkich dziejów, kazała doborowym szwajcarskim najemnikom przelewać krew w obronie pustego już pałacu. Rankiem 10 sierpnia 1792 roku Ludwik XVI wraz z rodziną i niewielką świtą przeszedł był bowiem stamtąd do pobliskiego gmachu Zgromadzenia Narodowego. Wiadomość o tym nie dotarła do atakujących królewską siedzibę powstańców Paryża; pierwszy szturm zakończył się pełnym niepowodzeniem, w drugim jednakże natarciu wzięły udział również zbuntowane oddziały gwardii narodowej. Szwajcarscy obrońcy zostali przez nie zmasakrowani, ponieważ królewski pisemny rozkaz złożenia przez nich broni i powrotu do koszar został wydany zbyt późno.

Przewodniczący obradom Legislatywy jakobin nazwiskiem Vergniaud zapewnił co prawda monarchę i jego najbliższe otoczenie, że deputowani uważają za swój obowiązek stanąć w obronie „władz ustanowionych przez konstytucję”, ale jednocześnie – jak się okazało – nie przygotowano im miejsc w sali obrad, lecz słóczono w tak zwanej łoży stenografa. Było to ciasne, zakratowane pomieszczenie znajdujące się nad fotelem przewodniczącego, a na co dzień służące dziennikarzom. Król – motywowano – może się stamtąd przysłuchiwać debacie, bezpośrednio zaś obecności w sali obrad Zgromadzenia Ustawodawczego zabrania mu konstytucja. Z tego właśnie pomieszczenia i wtedy dopiero, gdy do sali wlała się zbrojna tłuszcza z żądaniem zemsty na „mordercach ludu”, wysłał monarcha do swych szwajcarskich oddziałów ów spóźniony, i spisany pośpiesznie na byle jakim skrawku papieru, rozkaz zaprzestania walki. Zdyscyplinowani Helweci zastosowali się do jego polecenia – a wtedy ich niedobitki stały się ofiarą istnej rzezi.

Deputowani także postępowali pod presją ogarniętego rewolucyjną pasją tłumu. Nie znalazłszy konstytucyjnej podstawy do natychmiastowej detronizacji króla, postanowili oni doprowadzić do powołania nowej konstytuandy, władnej dokonać radykalnej zmiany ustroju. Tymczasem – głosił wydany przez nich tegoż dnia 10 sierpnia dekret – „zwierzchnik władzy wykonawczej jest tymczasowo zawieszony w swych prawach i funkcjach”. Plakaty rozwieszane na paryskich murach głosiły

nadto, że król i królowa są zakładnikami. Przez pierwsze cztery dni nie byli oni oficjalnie aresztowani; ich przejściowy pobyt w przyległym do budynku Zgromadzenia dawnym klasztorze można by raczej przyrównać do internowania. 13 sierpnia, po burzliwej naradzie, postanowiono umieścić królewską rodzinę w „prawdziwym” więzieniu, to jest w dwóch wieżach warowni zwanej La Temple.

Nie tylko chłodny obserwator zdarzeń, ale i sam Ludwik zauważał z łaćwością, że jego nowa sytuacja niewiele się w gruncie rzeczy różni od dotychczasowej. Co najmniej od czerwca 1791 roku, kiedy to monarcha skompromitował się nieudaną próbą ucieczki w kierunku Belgii, był on wraz z rodziną raczej więźniem tłumów aniżeli ich władcą. Para królewska od dawna poddawana była szczegółowej inwigilacji we własnym domu; krążyły plotki, jak to podczas którejś bezsennej nocy obecny w sypialni Marii Antoniny „strażnik rewolucji” zaproponował... konwersację, siadając na brzegu jej łóżka. Ludwik zaś w odruchu bezsilnej i przez to nieomal infantylniej przekory, schował się kiedyś za wielkim gobelinem i wyszedł z kryjówki dopiero wtedy, gdy wszczęto alarm w całym Tuileries, a on nasycił się już swoim gorzkim rozbawieniem.

Dzień 14 września 1791 roku proklamowany był świętem nowo uchwalonej konstytucji. Ludwik przyjął ją wcześniej i złożył przysięgę na jej wierność. Ustanowiono w niej ustrój monarchii konstytucyjnej, o którym francuski pomazaniec pogardliwie się wyraził, że przyznano mu w nim mniej nawet realnej władzy niżli królowi Polski w trzeciomajowej „Ustawie rządowej”. Ludwik nie doceniał stopnia przywiązania Francuzów do ustroju monarchicznego; niedostateczne przygotowanie do rządzenia państwem nie pozwoliło mu zarazem dostrzec, że – historycznie nieunikniony – proces ograniczania władzy królewskiej dawał dynastii przynajmniej szansę przetrwania. Nic nie było jeszcze do końca stracone; w pierwszej połowie lipca 1792 roku z rozmaitych – w sensie politycznym – stron padały wszak nawoływania do wewnętrznej zgody w obliczu zagrożenia zbliżającą się do stolicy austriacką interwencją, Ludwik odbierał defiladę obrońców Paryża na Polu Marsowym. Zgubiły go jednak pospołu trzy rzeczy: brak wycucia połączony z arogancją jego, a bardziej jeszcze Marii Antoniny, polityczna ślepotą rodzimych arystokratów, którzy emigrowawszy poszukiwali militarne go wsparcia na obcych dworach oraz nieokiełznana psychologia tłumy.

Tłum dobrze sobie zapamiętał fatalny precedens, który wydarzył się 20 czerwca 1792 roku – jak widać, rocznica nieudolnej ucieczki za granicę przyniosła Ludwikowi pecha. Ponad stutysięczna (bynajmniej nie spontaniczna, lecz odgórnie zorganizowana) demonstracja nieoczekiwanie wdarła się tego dnia do królewskiego pałacu. Monarchę wraz z żoną, córką i kilkuletnim następcą tronu przyparto do okiennego parapetu w jednym z pokojów, kazano im nałożyć czerwone frygijskie czapki; domagano się przywrócenia zdymisjonowanych jakobińskich ministrów i pisemnej akceptacji „patriotycznych dekretów”. Koszmar ten trwał około trzech godzin, w trakcie których Ludwik nawet wypił wprost z butelki toast „za zdrowie narodu”, nie ustąpił jednak ani na jotę w kwestiach wynikających z jego kon-

stytucyjnych uprawnień. To ostatnie przekonało polityków (w szczególności żyrondistów), że nie należy posuwać się zbyt daleko. Jednak lawiny toczącej się przez zrewolucjonizowany umysł zbiorowości już się zatrzymać nie dało.

Napad na Tuileries wywołał nie tyle popłoch, ile oburzenie za granicą. Więc tak się traktuje króla w konstytucyjnej monarchii? Do takiego stopnia może się rozzuchwalić pozbawiony ryzów absolutyzmu stan trzeci? Ludwik XVI bezskutecznie słał emisariuszy do niemieckich państweczek z prośbą, by emigranci dali sobie spokój z militarnymi akcjami kierowanymi z zewnątrz. Maria Antonina alarmowała



Proces królowej Marii Antoniny przed Trybunałem Rewolucyjnym.
Urzednicy sądowi w strojach sędziów Rewolucji, natomiast adwokat „po cywilnemu”.
Rycina wydrukowana w Anglii.

Wiedeń pisząc do cesarza, iż zbrojne wkroczenie emigrantów na teren Francji musi spowodować katastrofę, ponieważ nikt już wtedy nie uwierzy, że dwór królewski nie est z nimi w zmmwie (gwoli ścisłości należy w tym miejscu dodać, że Maria Antonina tajną pocztą przekazała Austriakom zarys francuskiej kampanii wojennej). Tym, co przeważało szalę na stronę dla Burbonów niekorzystną, była buta pruskiego generalissimusa, księcia Brunszwickiego. Spowodował on wcielenie oddziałów francuskiej szlachty do trzech niemieckich armii, sam zaś – wbrew dramatycznym pelom Ludwika – ogłosił manifest zapowiadający paryżanom spustoszenie ich

miasta oraz bezwzględny odwet na wszystkich, którzy poważyliby się podnieść rękę na osobę pomazańca. Ofensywa zakończyła się w sumie klęską sił inwazyjnych (pruskich, austriackich i heskich) oraz finansową i polityczną katastrofą francuskich arystokratów, którym sojusznicy wyrzucali wprowadzenie w błąd co do nastrojów ludności, wrogiej – jak się okazało – próbom przywrócenia *ancien régime'u*. Ale nieszczęsny manifest, który w pełnym brzmieniu dotarł do Paryża 1 sierpnia 1792 roku, wzmógł wzbурzenie jego mieszkańców. Zademonstrowano je zrazu w sposób symboliczny, a zarazem zdumiewający: dla podkreślenia pogardy wobec „wrogów wolności”, lud paryski ogłosił bojkot ogrodu tuileryjskiego. Umowną granicę „zakazanego” terenu odgradzono tylko wstążką, ale przez kilka dni nikt nie ośmielił się jej naruszyć.

Maria Antonina nie kryła swej demonstracyjnej pogardy dla francuskiego ludu przed Rewolucją, a zwłaszcza w jej trakcie. Austriacka arcyksiężniczka, rozpieszczona najmłodsza córka Marii Teresy, w wieku niespełna piętnastu lat została wydana za o rok od niej starszego Ludwika Augusta księcia Berry, wnuka ówczesnie panującego króla Francji Ludwika XV. Rozczarowanie przyniosło jej nie tylko samo małżeństwo, w pełni skonsumowane dopiero po paru latach, nie tylko wczesna śmierć dwojga spośród czwórki urodzonych później z tego związku dzieci, ale i sztywna etykieta francuskiego dworu, krępująca jej nawykłą do rozrywek i swobody naturę. Ludwik nie miał zamiłowania do zabaw ani nie pochwałał jej rozrzutności w zakupach strojów i klejnotów. Maria Antonina przez cały okres panowania swego męża utrzymywała bardzo ścisłe związki z wiedeńskim dworem, znacznie wykraczające poza granice rodzinnego przywiązania. Znana była jej skłonność do złośliwych kpін z francuskich dworaków oraz zamiłowanie do (w gruncie rzeczy niewinnych) flirtów. Paszkwilanci przypisywali jej nadto biseksualistyczne zapędy, najzupełniej zresztą niesłusznie. A już najwięcej złej krwi wśród poddanych przysporzyła królowej pewna sensacyjna historia, która zdarzyła się w roku 1785.

Przed jej opisaniem pozwólmy sobie na dygresję i przywołajmy na pamięć przygody dzielnego d'Artagnana, który wraz z trzema muszkietierami Ludwika XIII dokonywał cudów brawury i sprytu, by obalić intrygę niecnego kardynała i uchronić dobre imię królowej Anny Austriaczki, które ona sama lekkomyślnie naraziła na szwank, przekazując swemu ukochanemu księciu Buckingham podarowane jej ongiś przez królewskiego małżonka brylantowe spinki. W sto pięćdziesiąt lat później duch tej sympatycznie przez nas odbieranej awantury stanął przed swym ironicznie wykrzywionym, lustrzanym odbiciem. Ramy owego zwierciadła trzymał zaś w dłoniach kardynał książę Louis de Rohan. Czy chciał wzorować się na postaciach Richelieu i Mazarina – dokładnie nie wiadomo; ale że jego wyobraźnia nie dorównywała talentowi Aleksandra Dumasa ojca – to pewne.

Maria Antonina nie cierpiała de Rohana już w czasach, gdy był on ambasadorem akredytowanym na cesarskim dworze i cały Wiedeń z niesmakiem komentował jego wybryki polegające – na przykład – na wożeniu swych metres v przebraniu

księżyków. Był to przy tym człowiek nienasycony władzą i bogactwem, co trochę trudno jest zrozumieć, zważywszy że był już bajecznie zamożny i obsypany tytułami wielkiego jałmużnika Francji, ordynariusza biskupstwa Strasburg, członka Akademii. Marzyła mu się jednak kariera pierwszego ministra o nieogarnionych wprost uprawnieniach, do czego – tu zgadzały się opinie królowej i króla – nie miał żadnych kwalifikacji. W swojej głupocie kardynał był jednakowoż w stanie uwierzyć, że Maria Antonina zakochała się w nim bez pamięci i że szczęśliwa ta okoliczność utworzy mu wreszcie drogę do upragnionego stanowiska. O rzekomym płomiennym doń uczuciu królowej przekonała de Rohana niejaka pani Joanna de La Motte, nieślubna córka Henryka II Walezjusza, żona oficera bez grosza, posługującego się za to fałszywym hrabiowskim tytułem. To ona wymyśliła całą intrygę, rozdając w niej rolę najpierwszym osobom w królestwie, sobie zaś rezerwując prawo do zagarnięcia całości pieniężnych profitów z rozpetanej ich kosztem afery. Pani Joanna przedstawiła się kardynałowi jako... kochanka królowej, a zatem – jako osoba ciesząca się zaufaniem monarchini i mająca znaczny na nią wpływ. Już po tym wyznaniu książę de Rohan obsypywał ją złotem, byle tylko i jemu zechciała utworzyć drogę do łóżka Marii Antoniny. Madame de La Motte zadbała w stosownym momencie o uwiarygodnienie skuteczności swych zabiegów, organizując schadzkę księcia kardynała z dziewczyną trudniącą się co prawda najstarszym zawodem świata (oficjalnie pracującą w Wersalu jako modystka), ale za to ładną podobną do królowej. Wyszukał ją zresztą „hrabia” de La Motte. Mistyfikacja w ogrodowej altanie (wyobraźnia każe ją widzieć obrośniętą krzewami malin...) udała się znakomicie, zwłaszcza że przezornie przerwano ją już po kilku chwilach. A przedsiębiorcza pani Joanna postanowiła teraz dopiero zagrać *va banque*. Przekonała otóż niemądrego kardynała, że królowa pragnie nabyć od żydowskich jubilerów niesłychanie cenny naszyjnik, ale w obawie przed niechęcią króla do tej transakcji jego wybiera na pośrednika. Owo jubilerskie чудо rzeczywiście istniało i od paru lat jego wytwórcy bezskutecznie próbowali je sprzedać parze królewskiej. Stan finansów dworu na to nie pozwalał, a pozostający w spółce dwaj przedsiębiorcy rozpaczali, że nie mogą obracać zamrożonym w sześciuset pięćdziesięciu diamentach kapitałem. Dlatego też nie sprawdzali nawet, czy prawdziwy est podpis Marii Antoniny na wręczonym im dyskretnie przez kardynała zobowiązaniu do zapłaty ceny. Naszyjnik trafił za pośrednictwem de Rohana do rąk pani de La Motte, której – rzecz jasna – ani w głowie było przekazać go królowej. Obrotna osobka wyjechała z nim natychmiast do Londynu, gdzie po zdemontowaniu sprzedała tworzące go kamienie za cenę znacznie niższą od rynkowej. Jubilerzy tymczasem upomnieli się na dworze o pierwszą ratę należności. Madame de La Motte liczyła, że do tego nie dojdzie, bo według jej scenariusza książę kardynał po zorientowaniu się w oszustwie, dla uniknięcia skandalu powinien był po cichu sam zapłacić jubilerskiej spółce. Okazało się jednak, że przeceniła inteligencję de Rohana, który dopiero po niewczasie zorientował się, co się właściwie stało. W burzliwej dyskusji pomiędzy parą królewską a de Rohanem przegrał pogląd reprezentowany przez Ludwika, by rzecz całą owiać dyskrecją, w zamian zobowiązu-

jąc kardynała do uiszczenia ceny naszyjnika. Zwyciężyła opcja zaślepionej nienawiścią Marii Antoniny, to znaczy – zrobienie ze sprawy publicznego skandalu. De Rohan, w biskupim stroju, został w obecności licznych dworaków aresztowany i osadzony w areszcie domowym. I tu wydarzyła się rzecz zadziwiająca: społeczeństwo, mając do wyboru nielubianego wielkiego jałmużnika Francji i nielubianą królową, opowiedziało się po stronie purpurata, skoro tylko stał się on obiektem prześladowania dworu. Część błota, w którym unurzała Marię Antoninę pani de La Motte, trwale do monarchini przyłgnęła i opinia publiczna powątpiewała w całkowitą niewinność królowej. Z Rzymu także płynęły sygnały świadczące o zaniepokojeniu sposobem potraktowania księcia Kościoła. Śledztwo toczyło się ślimaczym tempem, memoriały produkowane przez adwokatów de Rohana sztucznie podtrzymywały atmosferę sensacji. Wreszcie, gdy doszło do procesu przed parlamentem, książe kardynał został uniewinniony; wyrok ten został oklaskany nawet przez pospólstwo. Louis de Rohan nie uniknął jednak odpowiedzialności cywilnej i aż do Rewolucji spłacał jubilerom raty za naszyjnik. Panią de La Motte zaś udało się wprawdzie ująć i skazać na dożywocie, ale niejasnym sposobem zbiegła ona wkrótce potem do stolicy Anglii. Popełniła tam jednak kolejną życiową nieostrożność publikując kłamliwe wspomnienia, za co tym razem zapłaciła najwyższą cenę: zginęła skrytobójczą śmiercią na londyńskiej ulicy.

Ludwik XVI nie doświadczał tej nieufności ze strony ludu, jaka była udziałem jego cudzoziemskiej małżonki. Nie miał jednak – jak się powszechnie uważało – cech niezbędnych skutecznemu władcy. Brakło mu zdecydowania, siły woli, energii. W gruncie rzeczy był po prostu nieśmiały. Zupełnie nie umiał przemawiać. Wcześniej zaczął tyć, nadużywając jadła i alkoholu. Prawie wcale nie podróżował, praktycznie nie znał Paryża, nie mówiąc już o innych miastach. Wykształcenie odebrał staroświeckie i powierzchowne. Sam starał się je później uzupełniać, czytając sporo książek o tematyce historycznej i geograficznej, doskonaląc znajomość angielskiego. Jedną z jego największych pasji była jednak zupełnie niekrólewiska: uwielbiał mianowicie nie tylko obserwować, ale także brać udział we wszelakich pałacowych remontach, przebudowach. A już najbardziej polubił ślusarstwo. Chętnie pobierał nauki z tej dziedziny u majstra nazwiskiem Gamain. Z okazji narodzin syna deputacja cechu ślusarzy sprezentowała królowi przemyślny zamek, sposób otwarcia którego monarcha mozolnie, ale i z zadowoleniem, rozpracował. Najwięcej jednak radości dawały mu polowania. Dzień bez tej rozrywki wydawał mu się dniem straconym. Dlatego też osobliwe wrażenie stwarza jego agenda, składająca się z jednozdaniowych zapisów dokumentujących każdy dosłownie dzień życia, począwszy od czasów, gdy był delfinem. Zapisy: „Nic. Przyjazd cesarza”, „Nic. Bal”, „Nic. Nabożeństwo żałobne za ojca” należy rozumieć tak, że inne zajęcia w owym dniu – mniej lub bardziej istotne – przeszkodziły w strzelaniu do jelenia czy ptactwa. Przy dacie zdobycia Bastylii Ludwik umieścił także słówko „nic” (*rien*). Branie udziału w posiedzeniach organów doradczych czy sądowniczych najczęściej nudziło go, czasem wręcz przy tych obowiązkach zasypiał. Pasjonowało go za to czytanie

cudzych listów, których przejmowaniem na poczcie trudniła się specjalna tajna służba. Oczywiście znajdowali się nieraz ludzie, którzy tę brzydką cechę władcy obracali na swoją korzyść, podsuwając mu korespondencję bądź to spreparowaną, bądź to specjalnie dobraną. Król był zbyt miękki wobec przeróżnych wpływów i raczej niekonsekwentny zarówno w mianowaniu ministrów, jak i we wspieraniu przygotowywanych przez nich reform. Gdyby przyjrzeć się w równie krytyczny sposób ocalałym do dziś w Europie monarchiom – czyż mało jest ludzkich wad i zwyczajnych skandali w niektórych królewskich rodzinach?

Czy można się specjalnie dziwić, że w ową pamiętną noc z 9 na 10 sierpnia 1792 roku Ludwik uległ demagogii generalnego prokuratora, z zawodu adwokata, Roedera, który tchórzliwie sugerował królowi opuszczenie pałacu? Uczestniczący w późnowieczornej naradzie w Tuileries mer Paryża Pétion z ociąganiem podpisuje rozkaz dla Gwardii Narodowej, mocą którego ma ona odeprzeć każdy atak na królewską siedzibę, po czym, zamiast wrócić do ratusza, śpieszy ukryć się w nie znanym nikomu miejscu. Pétion prywatnie jest tego samego zdania, co żyrondyści: Ludwika trzeba pozbawić korony, ale w drodze głosowania na Zgromadzeniu, nie zaś przemocą. Dowódca gwardii, konstytucyjny monarchista Mandat-Gailliot, jest gotów bronić Ludwika i jego rodziny. To on ściągnął trzy kompanie Szwajcarów. O świecie paryski ratusz zostaje opanowany przez Dantona i jego ludzi; wzywają do siebie Mandata. Ten początkowo rozsądnie odmawia przyjścia, ale później ulega prawniczym wywodom Roederera, mającym wykazać legalność nowych władz stolicy i udaje się do ratusza; ginie zastrzelony u jego bram. Wiele jest gorzkiej racji w stwierdzeniu Pawła Jasienicy, iż „w rewolucjach rolę szczególnego rodzaju odgrywają trzeciorzędni adwokaci oraz literaci tej samej rangi”.

Nie czas rozpamiętywać po raz kolejny słuszności decyzji króla o oddaniu się w opiekę Zgromadzeniu. Od 13 sierpnia Ludwik, jego siostra Elżbieta, Maria Antonina, dzieci królewskiej pary – delfin Ludwik Karol i Maria Teresa Charlotta przebywają w La Temple. Odseparowano od nich dziewięciosobową świtę, w której skład wchodziła między innymi przyjaciółka królowej, pani de Lamballe. Pomiędzy 2 a 6 września mający największy wpływ na rządy i starający się przypodobać rozkołysanej tłuszczy Danton i Marat pozwolą na rzeź około tysiąca więźniów politycznych, wrogów prawdziwych i urojonych. Odciętą głowę pani de Lamballe wyjący tłum będzie obnosił po mieście, a potem usiłował pokazać ją Marii Antoninie. Teraz już o losie monarchy i jego bliskich nie będą decydować polityczno-ekonomiczne zaszłości, ale płynąca meandrami lawa rozpalonych indywidualnych ambicji i zbiorowych żądz.

W niespokojnej atmosferze odbywają się we wrześniu 1792 roku wybory do Konwentu Narodowego; ledwie co dziesiąty wyborca zdecydował się w nich uczestniczyć. 20 września Zgromadzenie Legislacyjne przekazuje władzę ustawodawczą nowo wybranemu Konwentowi. Nazajutrz podejmuje on uchwałę o zniesieniu monarchii, a jeszcze następnego dnia – o ustanowieniu republiki.

Układ politycznych sił w Konwencie był taki, że sam w sobie nie niósł zagrożenia rzegłowaniem wniosku o skazanie eks-króla na śmierć. Tylko jakobini wraz

z pokrewnymi im odłamami stali niewzruszenie na stanowisku, że każda władza królewska jest ze swej natury uzurpacją i że w związku z tym należy wykonać wyrok śmierci, który *de facto* został wydany przez lud już podczas szturm 10 sierpnia. Lewica lansowała tym samym koncepcję „suwerenności narodu”: jeśli król, który był mandatariuszem narodu, sprzeniewierzył się jego woli, łamiąc złożoną przysięgę na wierność konstytucji, to lud powstając przeciw niemu, prawnie odbiera tylko z powrotem swoją suwerenność. Teraz depozytariuszem władzy narodu, władzy nieograniczonej, jest wybrany w powszechnym głosowaniu Konwent; może on zatem skazać byłego króla na śmierć. Deputowani z bardziej umiarkowanych ugrupowań stali na stanowisku zgoda odmiennym, usiłując przeforsować trzymanie się litery prawa, nie zaś tworzonych *ad hoc* rewolucyjnych teorii. Dowodzili oni, że zgodnie z konstytucją z 1791 roku króla można byłoby osądzić, o ile dałoby się udowodnić mu jeden z trzech zarzutów: a) że w terminie jednego miesiąca od chwili złożenia mu przez Zgromadzenie Narodowe tekstu konstytucji nie zgodził się na jej zaprzysiężenie; albo b) że stanął przeciw swemu narodowi na czele wojska; lub też c) że opuścił Francję i nie powrócił do kraju w terminie wyznaczonym przez Zgromadzenie. Żaden z tych trzech wypadków nie zaszedł – argumentowali żyrondyści i tak zwani „legaliści”. A poza tym, konstytucja nawet i wtedy przewidywała jako sankcję co najwyżej detronizację, gwarantując nietykalność osoby królewskiej.

Konwent wybrał ostatecznie rozwiązanie, które miało uchodzić za kompromisowe. Ale w rzeczywistości sprawa odpowiedzialności konstytucyjnej została przezeń nagięta tak, że stała się swoją własną karykaturą; w tym samym krzywym zwierciadle każe nam historia do dziś oglądać swój ironiczny uśmiech. Zdecydowano zatem, że król nie będzie wprawdzie mocą samej sprawiedliwości rewolucyjnej skazany za zdradę stanu, ale wytoczony mu zostanie proces, w którym Konwent będzie spełniał funkcję zarówno oskarżycielską, jak i osądzającą – i zadecyduje zarówno o winie, jak i o karze. Przyjrzyjmy się dokładniej, jak do tego doszło.

Żyrondyści – trzeba to podkreślić – starając się przewlec postępowanie i ochronić życie byłego króla kierowali się nie tyle poczuciem legalizmu, ile obawą przed pogorszeniem się międzynarodowej sytuacji Francji i nie tyle troską o los młodej republiki, ile względami ochrony życia i mienia grup społecznych, z których się wywodzili. Lewicy natomiast zależało na wprowadzeniu metody faktów dokonanych, które ostatecznie odcięłyby możliwość powrotu monarchii.

Wydawało się, że burza, którą wywołało znalezienie w Tuileries i w budynkach ministerstw dokumentów monarchii, ucichnie w niemrawych dyskusjach komisji powołanej przez Konwent. Jej raport zawierał wnioski w znikomym stopniu obciążające króla. Konwent wyłonił zatem następne ciało, tak zwaną Komisję Dwudziestu Czterech. Większość jej członków to żyrondyści, którzy starają się maksymalnie przedłużyć postępowanie; chcą też rozpisać referendum w sprawie ustanowienia republiki. Lewica organizuje nacisk ze strony zrewolucjonizowanych mas Paryża, aby króla i królową uznać zdrajcami narodu. Deputowany z klubu montaniardów przedstawia Konwentowi raport innej jeszcze, trzeciej komisji, która zbadała całość prawnych zagadnień sprawy. Jego konkluzje są następujące: król

usiłował zbiec za granicę, mimo że zaprzysiął wierność konstytucji. Poza tym – zaakceptował ją był niechętnie, nigdy się z jej duchem nie utożsamiał; nie może zatem dzisiaj zaślaniać się przewidzianą w niej ochroną jego osoby. Na posiedzeniu plenarnym Konwentu przedstawiony zostaje w związku z tym projekt następującego dekretu:

a) Ludwik może być postawiony w stan oskarżenia; b) organem sądzącym go będzie Konwent Narodowy; c) funkcję oskarżycielską będzie spełniało trzech wskazanych przez Konwent komisarzy, którzy zbiorą i przedstawią wszelkie dowody; d) raport owych oskarżycieli zostanie doręczony Ludwikowi i jego obrońcom; e) Ludwik przedstawi motywy swojej obrony na piśmie; f) wyrok zapadnie w jawnym, imiennym głosowaniu.

Jeden z posłów z Wandei argumentował, że zasada *lex retro non agit* zabrania sądzić króla według norm prawnych nie istniejących wcześniej. Saint-Just dowodził w odpowiedzi, że pojęcia z dziedziny sprawiedliwości nie powinny być w ogóle stosowane w relacjach pomiędzy królami a resztą ludzkości. Nowe motywy w debacie pojawiły się po 20 listopada, kiedy to rewolucyjny minister spraw wewnętrznych Roland poinformował o odkryciu w Tuileries tajnej skrytki z następnymi dokumentami. O istnieniu schowka doniósł ów najbardziej przez Ludwika XVI szanowany i szczerze przez niego wynagradzany ślusarz Gamain; ongiś on sam wraz z królem wykonał tę żelazną szafę i osadził ją w ścianie pałacu. Na Rolanda padają podejrzenia, że najpierw sam przejrzał i być może wyselekcjonował papiery, zanim ujawnił je opinii publicznej. Konwent tworzy na jego wniosek jeszcze jedną, dwunastoosobową komisję do przeanalizowania treści znaleziska. Dokumenty są nieco ciekawsze niż poprzednie, bo są wśród nich dowody korumpowania przez króla środowiska rewolucyjnego; jest także korespondencja z obcymi dworami; ale ona nie daje jasnych podstaw do oskarżenia byłego monarchy. Konwent mimo to wyznacza kolejną dwunastoosobową komisję dla opracowania zasad procedury w postępowaniu nadzwyczajnym oraz aktu oskarżenia przeciwko byłemu królowi. Nie nazywa się go już Ludwikiem XVI, lecz Ludwikiem Kapetem. Komisja przedstawia wynik swojej pracy na posiedzeniu plenarnym 10 grudnia. Nie potawiono eks-królowi zarzutu o wezwanie obcych wojsk. Jednym z głównych punktów oskarżenia jest spowodowanie masakry tłumu atakującego Tuileries 10 sierpnia (nikt nie bada problemu czyjejkolwiek odpowiedzialności za wymordowanie izwajcarów po złożeniu przez nich broni...).

Proces rozpoczyna się nazajutrz, dnia 11 grudnia 1792 roku. Dla króla przygotowano w sali Konwentu fotel ustawiony w tym samym miejscu, w którym rzeszło rok wcześniej składał przysięgę na wierność konstytucji. Ludwik jest w surducie, bez peruki. Po odczytaniu aktu oskarżenia i złożeniu przez oskarżonego pierwszych wyjaśnień rozprawa ulega odroczeniu; uwzględniony zostaje – wbrew rotestom Marata – wniosek o przyznanie obrońców. Król zwraca się do dwóch nanych w Paryżu adwokatów: Targeta i Troncheta. Target odmawia mu swojej omocy pod pretekstem złego stanu zdrowia. Tronchet przyjmuje sprawę; ochotniczo

zgłasza się jeszcze ponad siedemdziesięcioletni Malesherbes. Ta dwójka dokooptuje nieco później do swego grona trzeciego, najmłodszego z nich wiekiem adwokata de Séze.

Cały wysiłek obrońców zmierza w kierunku wykazania nielegalności samego procesu i stosowanej w nim procedury, a w ostateczności do uzyskania łagodnego wyroku. Wyjaśnienia Ludwika nie dają im bowiem materiału do merytorycznej polemiki z treścią zarzutów. Odpowiedzi eks-króla na pytania są bowiem wprawdzie rzeczowe i spokojne, ale nader często naiwnie kłamliwe. Zaprzecza na przykład, by w ogóle coś wiedział o istnieniu żelaznej skrytki z dokumentami. Proces toczy się z przerwami. Bo tak naprawdę, to losy byłego monarchy rozstrzygają się nie w sali plenarnych obrad Konwentu, ale na ulicach i placach Paryża, gdzie rywalizują ze sobą propagandowe moce żyrondyistów i montaniardów. Ci pierwsi usiłują przeforsować skazanie na wygnanie wszystkich Burbonów, w tym także przedstawiciela młodszej ich linii, Filipa księcia Orleanu, znanego teraz jako Filipa Egalité; podejrzewają bowiem, że przeciwnicy zamierzają cichcem wprowadzić go na opustoszały tron. Takie rozwiązanie – banicja – uratowałoby zarazem głowy Ludwika i jego najbliższych. Innym pomysłem żyrondyistów jest propozycja rozpisania referendum, które zdecydowałoby o losie króla – istniało wszak duże prawdopodobieństwo, że naród zadowoliliby się w nim samą detronizacją. Montaniardi, wśród których szczególnie aktywny jest Robespierre, posiadając mniejszość głosów w Konwencji szukają wsparcia w opanowanym przez skrajną lewicę paryskim ratuszu; dbają też o podtrzymywanie atmosfery zastraszenia wśród ludności.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia dochodzi do wygłoszenia przemówień przez obrońców i ostatniego słowa przez samego oskarżonego. Wszystkie mowy zawierają powołanie się na czystość królewskiego sumienia oraz na względy interesu międzynarodowego i historycznego Francuzów. W sumie są mało przekonujące. Ale i deputowani obu skłóconych ze sobą stron wiedzą, że rozwiązanie musi uwzględniać w danym momencie przede wszystkim międzynarodową pozycję państwa. Problem w tym, że każde ze stronnictw postrzega ten problem zupełnie inaczej: skrajna lewica pragnie „rewolucyjnego pożaru”, który ogarnąłby inne kraje europejskie i stawia na pierwszym miejscu obronę rewolucji przed zewnętrznymi wrogami, prawica zaś dba raczej o to, by nie dać Hiszpanii i Wielkiej Brytanii pretekstu do przyłączenia się do istniejącej już prusko-austriackiej koalicji. W brytyjskiej Izbie Gmin podnoszą się głosy za przywróceniem stosunków dyplomatycznych z Francją po to, by można tą drogą wyrzucić nacisk zmierzający do ocalenia Ludwika XVI. Przeważa jednak zdanie premiera Pitta, że nie można tego uczynić, gdyż wysłanie ambasadora równałoby się uznaniu republiki. Król Jerzy III ogranicza się zatem do opublikowania ogólnych wyrazów swego zaniepokojenia. Władca Hiszpanii Karol IV wybiera inną drogę, asygnując niemałą kwotę na próby przekupienia francuskich deputowanych oraz oferując republice gwarancję neutralności w zamian za wydanie łagodnego wyroku na jego kuzyna.

15 stycznia 1793 roku w Konwencji odbywa się głosowanie. Deputowani kolejno wchodzi na mównicę i odpowiadają „tak” lub „nie”, najpierw na dwa pytania: czy

były król winny jest spiskowania przeciw wolności i prowadzenia działań przeciwko bezpieczeństwu państwa? I – czy wyrok na Ludwika Kapeta ma być poddany weryfikacji w powszechnym ludowym głosowaniu? Pierwsza kwestia zostaje przegłosowana na „tak” miażdżącą przewagą głosów, druga – na „nie”, proporcją około dwóch do jednego. Trzecie imienne głosowanie trwać będzie łącznie kilkanaście nocnych godzin, a dotyczyć ono będzie sprawy najważniejszej: na jaką karę zasługuje były król Francuzów Ludwik Kapet? Oto wyniki:

Oddano głosów – 721

Wymagana większość – 361

Za karą śmierci z zawieszeniem jej wykonania – 34

Za karą śmierci – 366

Za uwięzieniem do końca wojny, a następnie wykonaniem kary wygnania za granicę – 319

Był wśród głosujących także deputowany Paryża, Filip Egalité. Nie tylko że oddał głos za skazaniem kuzyna na śmierć, ale skorzystał także z przysługującego każdemu posłowi prawa do krótkiego umotywowania decyzji, bąkając coś o obowiązku, który karze wymierzać najwyższą karę wrogom suwerenności ludu. Nawet Robespierre nie krył swego niesmaku. (W kilka miesięcy później książę Orleański sam został skazany na ścięcie; stojąc już na szafocie, próbował mężną postawą i skruchą odkupić swoją winę wobec Ludwika).

18 stycznia zarządzono weryfikację ostatniego z przeprowadzonych głosowań. Ostateczny jego wynik przewodniczący zgromadzenia Vergniaud przedstawił następująco: za karą śmierci: 387, za karą więzienia i banicji: 334. Następnego dnia żyrondyści wypróbowali jeszcze jeden manewr proceduralny, doprowadzając do głosowania w kwestii zawieszenia wykonania wyroku śmierci; 310 głosów było na „tak”, 380 głosów – na „nie”.

Król przyjął ogłoszony mu w dniu 20 stycznia wyrok bez słowa. Konwent nie uwzględnił jego prośby o odroczenie egzekucji na okres trzech dni i wyznaczył jej termin na dzień 21 stycznia 1793 roku. Jedyńm ustępstwem było zezwolenie Ludwikowi na pożegnanie się z rodziną bez świadków oraz skorzystanie z posługi „niezaprzysiężonego” kapłana. Trzeba bowiem pamiętać, że we Francji obowiązywała tak zwana konstytucja cywilna kleru, na którą Ludwik wyraził był pisemną zgodę. Nie przestawał żałować, że pozwolił się zmusić do łania temu dekretowi swojej kontrasygnaty. Ponieważ od czasów, gdy był „więźniem Tuileries” nie miał swobody w dobieeraniu sobie najbliższego otoczenia, w drodze tajnej korespondencji ustalił z „niezaprzysiężonym” biskupem Clermont, iż będzie się powstrzymywał od przyjmowania sakramentów z rąk „księży-patriotów” i ograniczał do lektury brewiarza. Ludwik był przez całe życie złowikiem bardzo religijnym, czego zewnętrzne oznaki nieraz drażniły otoczenie w tym i królową) jeszcze w czasach monarchii. Świadectwa z okresu pobytu w La Temple, pozostawione między innymi przez jego córkę, pozwalają sądzić, że ostatni okres życia króla był czasem autentycznego pogłębienia wiary. Teraz

zezwolono mu wreszcie na skorzystanie z posługi religijnej „opornego” księdza, Edgewortha de Firmont, który był synem nawróconego na katolicyzm irlandzkiego pastora. W przeddzień egzekucji spowiadał on skazańca przez kilka godzin; król dał mu następnie swoją obrączkę z prośbą o przekazanie jej królowej oraz małą pieczętkę z godłem – dla syna. Nazajutrz wczesnym rankiem kapłan znów przybył do więzienia – tak jak mu kazano – po cywilnemu, ale udało mu się skłonić komisarzy Komuny do wypożyczenia z pobliskiego kościoła wszystkiego, co było mu potrzebne do odprawienia mszy dla króla.

Egzekucję wyznaczono na godzinę szóstą rano; ulice są silnie obstawione gwardzistami. Na placu Rewolucji (dzisiejszym Placu Zgody) Ludwik sam zdejmując frak i krawat, odwijają kołnierz koszuli. Wzdrga się przed skróceniem mu włosów. Początkowo opiera się także, gdy pomocnik kata chce mu związać ręce. Ksiądz Firmont przekonuje go, aby na to pozwolił – według zachowanej relacji spowiednika król godząc się pod jego wpływem na skrupowanie mu dłoni motywuje swe poddanie się owej ostatniej zniewadze chęcią upodobnienia do Chrystusa, wypicia aż do dna przeznaczonego mu kielicha męczeństwa w nadziei, że odkupi tym grzechy Francuzów. Chce jeszcze powiedzieć stojącym w głuchym milczeniu tłumom, że umiera niewinnie i że wybacza swoim sędziom, ale mu to uniemożliwiają każąc bez ustanku bić w bębny i werble.

Kiedy przychodził na świat, barbarzyńska tradycja nakazywała, by przy porodzie każdego królewskiego potomka było obecnych jak najwięcej gapiów, mogących potem zaświadczyć, że na własne oczy widzieli, jak się on wydostawał z łona królowej – że zatem jest prawdziwie Dzieckiem Francji. Także i swe odejście ze świata, w wieku zaledwie 39 lat, musiał Ludwik przeżyć publicznie.

Zwłoki króla pogrzebano na cmentarzu parafii św. Magdaleny przy ulicy Faubourg Saint-Honoré, bez udziału żałobnego orszaku; sporządzono za to z tej czynności szczegółowy protokół.

W parę miesięcy potem odbywa się proces Marii Antoniny, który jest już tylko niegodziwym widowiskiem. obrońca z urzędu jest jedynie figurantem. Padają nie tylko konkretne oskarżenia o współdziałanie z Austrią i innymi wrogami Republiki, ale – w większym nawet stopniu – zarzuty o złe prowadzenie się. Rozpętana na ulicach Paryża propaganda nie cofa się przed żadnym obelżywym oszczerstwem. Wydany jednogłośnie wyrok śmierci jest w tych warunkach formalnością. Eks-królowa nie chce skorzystać z posługi religijnej spowiednika, ponieważ jest to ksiądz „zaprzysiężony”. W południe 16 października 1793 roku wiozą ją na wozie przeznaczonym dla zwykłych skazańców, ze skrupowanymi z tyłu rękoma, na plac Rewolucji. Tłumy wygrażają jej i złorzeczą nawet podczas samej egzekucji.

9 maja 1794 roku ginie na szafocie całkowicie niewinna królewska siostra, Elżbieta.

Córkę królewskiej pary, Marię Teresę Charlottę, dopiero w końcu 1795 roku zwolniono z więzienia i pozwolono jej wyjechać do Wiednia.

Ośmioletniego delfina Ludwika Karola wkrótce po zgilotynowaniu jego ojca odseparowano od matki. Do końca swego krótkiego życia pozostał w La Temple pod

nadzorem członka Rady Generalnej Komuny Paryża, niejakiego Simona, szewca z zawodu. Umarł na gruźlicę w dniu 8 czerwca 1795 roku.

Kiedy sądzono i ścinano króla, niektórzy deputowani obawiali się wzburzenia tłumów, zamieszek, może nawet prób uwolnienia Ludwika. Nic takiego nie nastąpiło – w dniu egzekucji ludzie chodzili po ulicach roześmiani, nie odwołano ani jednego teatralnego spektaklu. Niteczka indywidualnego i zbiorowego sumienia, poddawana przez długi czas zbyt dużym napięciom, pękła wreszcie, przestając łączyć ze sobą myśl i uczucie.

Literatura:

Baszkiewicz J.: *Ludwik XVI*, Ossolineum 1983.

Baszkiewicz J., Meller S.: *Rewolucja francuska 1789–1794...*, PIW, Warszawa 1983.

Jasienica P.: *Rozważania o wojnie domowej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

Meysztołowicz J.: *Korona pod gilotyną*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984.